

Dla nas szczęście niepisane [fragment powieści *Poświaty*¹]

– Nie zdejmaj butów, nie zdejmaj, zimno w nogi, no i patrzaj, wyzuła sie. A kedyś przyjechała? W pjontek? Na krzeselko przelóz jesionke, ładnie ci w tem kolorze, ładnie, tak do twarzy. Usiundź dobrze, bo zlecis. Ja? Oj, licham wej, dzieciaku. Nawet jak wstać ugotować w cajniku wody, to słabo me i juz. Ale jićś to tez moge, jak co dobrygo, to esce sporo. Ciastków w herbacie umoce. A ty nie słodzisz herbaty? Cukier to dobry jest, tucy. Ukraj sobie ty bułki, zobac, cy przepiecona. Jak takie białe z munko, to najgorzy. Zeskrobaj te munke, bo sie rozchorujes. Ale zjizd chociaż kawaluntek, zjizd, kochana. I co tam u ciebie, zdrowaś? A na obiad cośta jedli?

Teraz milczała, a stukot moich obcasów odbijał się od kremowych ścian, gdy niczym onieśmielona panna młoda szłam w jej stronę z pochyloną głową pomiędzy dwoma rzędami wypolerowanych ław. W lśniącej posadzce odbijał się spód trumny ustawionej na metalowym katafalku, wyrócona do góry dnem łódź unosząca się tuż pod marmurową taflą poprzecinaną złotymi żyłkami. Na podświetlonej chłodnymi LED-ami ścianie wisiał nienachalny krzyż, łatwy do zdjęcia, gdy raz na kilka miesięcy odbywał się tu pogrzeb w innym obrzędku lub jeszcze rzadziej – świecki.

Babcia za chwilę obudzi się i powie: „A gdzie ja sie podziałam, zabierzta mnie do chatupy, gdzie to wsiowe babke do takech pataców” – nieświadoma, że wuj już dawno rozebrał groźną zawałeniem drewnianą chatę, w której przeżyła z dziadkiem ponad sześćdziesiąt lat.

Jej mąż miał więcej szczęścia, w tej jednej chacie zdołał zamknąć całe swe istnienie. Tu urodził się, tu wprowadził swoją żonę i wychował dzieci, tu latami chorował i zmarł. Jego trumna stanęła w dużej izbie, na taboretach, pomiędzy które wsunięto agregat chłodniczy, jeden z niewielu dowodów na to, że nie uczestniczyliśmy tylko w skansenowej inscenizacji przedwojennych uroczystości pogrzebowych. Zgromadzone wokół stare babki z całej wsi zawodziły żałobne pieśni, a najgłośniejsze nuty wyciągała Walercia Jóźwiakowa. Dziadek za młodu kochał się w niej z wzajemnością, ale dla jej rodziców okazał się za biedny. Jadzia, uboga żona z rozsądku, którą pokochał już po narodzinach syna, nie uroniła tego dnia ani jednej łzy, podobnie zresztą jak przez całe dorosłe życie.

¹ Powieść Marty Michalak zatytułowana *Poświaty* została nagrodzona w konkursie na najlepszą pracę napisaną w roku akademickim 2023–2024 w ramach studiów podyplomowych Szkoły Mistrzów. Studiów technik pisarskich oraz prezentacji tekstu literackiego działających przy Instytucie Literatury Polskiej na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W wersji książkowej tekst ukaże się jesienią 2024 nakładem Wydawnictwa Nisza.

Kilka miesięcy mieszkała sama, ale gdy w środku zimy zaczęła w samej halce karmić kury w obejściu, rodzice zabrali ją do miasta.

Przeżywszy dziewięćdziesiąt dwa lata i niemal wszystkich znanych jej rówieśników, babcia żegnała się z życiem w sterylnym uniwersum estetycznej śmierci, w którym muzyka płynęła z dyskretnych głośników pod sufitem, a teksty pieśni wyświetlały się na bocznym ekranie, zastępując logo domu pogrzebowego.

– Wczoraj śniły mi się zęby, ja wiedziałam, że coś się złego stanie. Ale ty nie przyjeżdżaj teraz, po co będziesz przyjeżdżała, przyjedziesz, jak umrze, ona i tak już nie wie teraz o świecie – powiedziała matka w zeszłym tygodniu, gdy babcię zabrało pogotowie.

Oburzyłam się tylko dla zachowania pozorów. Śmierć babci mogłam znieść, to umiowanie mnie przerażało. Przez dwa dni nie wychodziłam z domu, czekając na pęknięcie lustra, na pajęczynę, która nagle pojawi się na klamce, na stukanie w okno ciemną nocą, którym dusza babci poinformuje mnie osobiście, że oddzieliła się od ciała i ukarze za moje tchórzostwo, ale dopiero od brata dowiedziałam się w środę po południu, że to już. Potem uświadomiłam sobie, że przecież nie znała mojego adresu, zresztą nigdy nie wyjechała poza granice powiatu. Może więc obie stchórzyłyśmy.

Białe wybicie trumny miękko otulało jej drobne ciało bogatymi marszczeniami. Od lat jej ubywało, jakby oddawała światu to, co z niego przyjęła. Teraz nie wypełniała sobą nawet granatowej garsonki i żakardowej białej bluzki, które doczekały się wreszcie swojego wielkiego dnia. Obleczenie i buty do trumny babcia kupiła na rynku tuż po śmierci dziadka, targując się ostro, a potem już tylko co jakiś czas sprawdzała, czy do materiału nie dobrały się mole, czarne pantofle przecierała szmatką i chowała znów do pudełka. Może nie chciała robić nikomu kłopotu, a może pamiętała, że matkę ojca pochowano w mojej apelowej bluzce.

Grunt, że babcia była przygotowana do śmierci od co najmniej dwudziestu lat, w tym od kilku jakby zniecierpliwiona, że ta wciąż o niej zapomina.

– A tak to już by cłojek posed tam i by miał dobrze, i uni dobrze, bo wiés, zawalisko, jak to przy chorem jest – powtarzała.

Więc chyba jednak chodziło o ten kłopot.

Nigdy wcześniej nie widziałam jej śpiącej, z zamkniętymi oczami, zawsze budziła się pierwsza i szła spać ostatnia, a miała te oczy świdrujące, niebieskie, niemal przezroczyste. I do końca chwaliła się doskonałym wzrokiem.

– Patrzaj, dzieciaku, ja to esce i w gazecie telewizyjny przecytam, jak co ciekawego, i na mléku tez przecytam, cy esce zdatne, bo sklepowa to powié świeże, pani Jadziu, świeże, bo myśli, że ja nie przecytam, ze to tam esce tylko jeden dzień na terminie zostało. Ślepemu to biéda, jak ty sie umordujes, dzieciaku, w tech tokularach.

Te okulary, które zaczęłam nosić w czwartej klasie, przyniosły jej całe tygodnie żalu i zgryzoty, bo babcia stale zamartwiała się trudami życia swoich wnuków, we własnym nie dostrzegając żadnych niedostatków. Jej czujne oczy nieustannie oblatywały świat w poszukiwaniu jego uszczerbków, które mogłaby naprawić. Wypatrywała zwłaszcza dziur wyrastających w rajstopach na moich rozbitych kolanach, ilekroć przyjeżdżałam

do niej z rodzicami i uciekałam przed kurami, które nie miały zamiaru mnie atakować, tylko patrzyły na mnie złowrogo, jakby wyczuwały moją obcość.

– Oj, dzieciaku, tyś już mniեսcka, toć une ci nic nie zrobio... Chodziej, zacerować trzeba, cobyś nie chodziła jak dziadówka.

Babcia otrzepywała moją spódniczkę z piachu, wycierała krew z kolan i gile z nosa, stawiała mnie przed sobą na baczność, sama siadała na niskim zydelku, nalewała na duży łyżkę kilka kropli żółtkowych, „bo tak me dzisiaj boli żółtendek”, i zabierała się do pracy. Igła zbliżała się i oddalała, a z nią nitka z kordonka i kościste palce babci. I choć wstrzymywałam oddech, byle tylko się nie poruszyć, przerażona, gdy chłodny metal igły muskał moją skórę – „nie bojać się, nie bojać, toć cie nie kujne” – to jednocześnie wiedziałam, że babcia sprawuje nad swoją igłą władzę absolutną i magiczną, zresztą długo myślałam, że to „cerowanie” oznacza „czarowanie”, tylko babcia przekręca to słowo jak wszystkie inne. Dziura zmniejszała się, by wkrótce zupełnie zniknąć, i żałowałam, że cery-czary trwały tak krótko.

Magiczne były też te kropelki. Gdy bolał mnie brzuch, bo w czasie wizyty na wsi rodzice dodatkowo zachęceni obecnością widowni postanawiali rozpętać kolejną awanturę (jak gdyby miejsce, w którym zakochali się w sobie, złośliwie przypominało im o toczącej ich teraz wzajemnej niechęci), babcia zamykała się ze mną w małym pokoju i odliczała kropelki z brązowej buteleczki, które podawała mi na dużej łyżce cukru – raz, dwa, trzy, cztery, piątą, a potem na tę samą łyżkę nalewała kilka kropli dla siebie.

Ucisk w brzuchu wiernie mi towarzyszył, nawet gdy wyjechałam do Warszawy na studia. W kolejce po odbiór indeksu wylapywałam strzępki rozmów o zagranicznych wakacjach lub pięcioletnich liceach i czułam się jak na podwórku u babci, niepewna i zagrożona, w każdej chwili spodziewając się ataku, gdy wszyscy wokół wywęszą moją obcość. Oczywiście moje obawy były nieuzasadnione. Podobnie jak babcine kury, ci ludzie nie zwracali na mnie żadnej uwagi.

Innych obcych zauważałam dopiero po kilku tygodniach. Tak jak ja nie rzucali się w oczy, przemykali korytarzami w znoszonych traperach i ciuchach bez marki, wydzielając prowincjonalne feromony zawierające nuty ambicji i poczucia nieadekwatności. Rozpoznawaliśmy się po popękanych umywalkach w wynajmowanych mieszkaniach i po trzyosobowych pokojach w akademikach, po ulubionych barach mlecznych i konieczności udowodnienia, że jesteśmy warci pieniędzy na nasze utrzymanie w stolicy, nadszarpujących co miesiąc rodzinne budżety. Ale nawet na tle tej grupki moja rodzina wyróżniała się, wypadła poza średnią, co nauczyłam się przekształcać w zabawną anegdotę, tak aby nowi znajomi mogli uznać, że dla efektu humorystycznego podkolorowuję naszą domową rzeczywistość. Ich śmiech bolał mniej niż niewypowiedziane zdziwienie, że taka rzeczywistość istnieje.

Ucząc się nocami niemieckich słówek, które studenci z mojego roku poznawali w pierwszej klasie, krążyłam po ciasnej kuchni i czasem zatrzymywałam się przy szafce nad okapem, by wyciągnąć z niej kropelki. Matka spakowała mi je razem z plastrem do cięcia i tańszym odpowiednikiem Amolu, co pasowało do sytuacji, bo właśnie podróbką

czułam się wtedy najbardziej. Ale gdy odliczałam spadające na łyżkę krople – raz, dwa, trzy, cztery, pięć, zaliczę, dlaczego mam nie zaliczyć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, przecież się uczyłam, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, nie jestem od nikogo gorsza – na tę krótką chwilę mogłam poczuć coś w rodzaju spokoju.

A przez te kilka miesięcy, gdy musiałam z kropli zrezygnować – nie stosować w okresie ciąży i karmienia piersią, mówiła ulotka – podważałam paznokciem małą brązową zatyczkę wciśniętą w nakrętkę, a zapach waleriany prznosił mnie do czasów, gdy ktoś nade mną czuwał, a strach nie miał wymiaru życia i śmierci.

Teraz babcia pachniała spokojem w zupełnie inny sposób. Spokojne po raz pierwszy były też jej splecione dłonie owinięte drewnianym różanicem, który przywiozłam jej z wycieczki do Watykanu. Jako różaniec od papieża, tego nowego co prawda, ale zawsze, został przeznaczony do wyższych celów i schowany razem z trumienną garsonką, żeby nie zużywał się codzienną modlitwą. Do modlitwy o chleb powszedni służył srebrny różaniec w kształcie obręczki z małymi wypustkami, który babcia obracała na serdecznym palcu, ilekroć chwilowo uporała się z całą wyznaczoną sobie robotą.

Babcine ręce służyły wyłącznie do modlitwy i pracy. Jeśli mnie dotykała, to tylko po to, żeby mnie umyć, uczesać, poprawić na mnie ubranie, a ten jeden jedyny raz – zasłużenie ukarać.

Lepiłam na podwórku ciasto z piasku, przystroiłam je zielskiem zerwanym z trawnika. Przez otwarte okno w kuchni dobiegał głos babci, skrzekliwy i mocny, z innego kompletu niż drobna staruszka. Byłam dopiero w drugiej klasie i czekałam na chwilę, w której ją przerosnę, a tym samym moja przewaga nad nią zyska fizyczną manifestację. W tym okresie babcię nazywałam – za przykładem ojca – babką i nie cierpiałam, gdy przyjeżdżała do nas w tej swojej chustce, którą nosiła w mrozy pod czapkę, a w największe upały pod słomkowym kapeluszem z gumką, z tą wiejską gadką tak boleśnie uwierającą w rzeczywistości, w której największym obciążeniem było wieśniactwo. Jako osoba urodzona w piętnastotysięcznym mieście miałam wszelkie prawo czuć się od babki lepsza. Do tego, gdy z jakiejś okazji przyjeżdżała mnie pilnować, od razu zarządzała generalne porządki, odsuwała szafki kuchenne, wymiatała zza nich czarne, mokre pajęczyny oraz truchelka dawno zaginionych chomików i papużek falistych. Teraz wołała mnie na obiad, coraz bardziej zniecierpliwiona, bo zupa stojąca na stole równała się ze świętością, a jej stygnięcie z obrazą boską. Schowałam się w bocznej wnęce drzwi prowadzących do piwnicy. Po chwili babcia wyszła z domu, omiotła wzrokiem podwórze i poszła za węgiel. W tym czasie ja wbiegłam do domu i schowałam się na piętrze, stłumiłam podły chichot, widząc przez okno, jak babcia zaczepia sąsiadów i ciężko dysząc, wraca do domu. Czuję się jak w kreskówce, w której bezczelny królik zawsze wywija się małemu, tysemu doktorkowi, ten pościg trwa jeszcze kilka minut. Babcia w końcu znalazła mnie za drzwiami, i to tylko dlatego, że parsknęłam śmiechem. Najpierw odetchnęła z ulgą.

– Jezus Maryja, jużem myślała, żeś gdzie poleciała i pod samochód jaki wpadła. – A zaraz potem trzepnęła mnie dłonią po gołych nogach. – Boże kochany, az me zotendek rozboleł, az me gli.

Czerwone plamy na jej szyi zachodziły aż na policzki. Patrzyłam, jak nalewa na łyżkę krople, a potem żegna się i chwilę modli z przymkniętymi oczami, i poczułam, że mnie też jest niedobrze. Chciałabym móc powiedzieć, że od tego dnia nabrałam szacunku dla babci, że już nie wstydziłam się, gdy kupowała truskawki na chodnikowym straganie, a po kilku krokach zawracała, żeby wymienić jedną zgniłą, która się pośród nich trafiła, że nie przewracałam oczami, słysząc te wszystkie „jedziem”, „pójdziem” i „zrobim”, te „termedie” i „kumeluny”, ale największą chorobą wieku dojrzewania jest lekceważenie wymieszane z okrucieństwem. Po prostu z czasem przestałam poświęcać jej uwagę, zbyt byłam zajęta wstydem się za matkę.

Dopiero teraz, po śmierci babcia nagle stała się dla mnie osobą, pełną tajemnic kobietą o imieniu Jadwiga. Czy miała marzenia, zainteresowania? Czy była szczęśliwa? Czy znajdowała satysfakcję w swojej codzienności? Jak miałam ją poznać, gdy pytania z portali poświęconych psychologii, którymi analizowałyśmy z koleżankami zakamarki własnej psychiki, nie przystawały do babcinego życia, pochodziły z innej niż ona talii kart, były odpowiedziami do innej krzyżówki? Babcia po prostu żyła, a jeśli zastanawiała się, skąd, dokąd i po co, nigdy się z tym nie zdradziła. A gdyby dociekliwa terapeutka zapytała ją:

– Co panią do mnie sprowadza, pani Jadwigo? – prezentując profesjonalny uśmiech sygnalizujący jednocześnie życzliwość i powagę adekwatną do omawianych zagadnień, babcia odpowiedziałaby pewnie:

– A ja tam wiem? Wnuczka me przyprowadziła, że to jakieś tra-u-me babcia przeżyła, tak ona poda, i że wej tera to sie take rzeczy lecy, nie tak jak kedyś. W plecach to me boliwa, nie powiem, tak porzundnie, casem to i wstać cłojek nie ma siły, tak go boli, ale cy to ta tra-u-ma, to ja nie wiem, cłojek stary, to juz go wsytko boli.

– Może zacznijmy od pani doświadczeń wojennych. Czy przypomina sobie pani jakieś szczególnie dramatyczne przeżycia?

– Wojna to wojna, różnie tam było, ale jakoś wej cłojek przeżył, Bóg dał, widocznie mniał przeżyć.

Zapada cisza, babcia poślinionym palcem pociera okrągły ślad po szklance zostawiony na bocznym stoliku, zerka nieśmiało na terapeutkę, która, wyczulona na sygnały niewerbalne, zachęca:

– Proszę mówić, to jest bezpieczna przestrzeń...

– Pani dochtór sie nie gniéwa, ale tu by trzeba jakieś serwetecke polozyć na tem stolicku, bo tak to sie bendzie od tech sklanków śwyniło, a to ślicny stolicek, tera wsytko kostuje.

Terapeutka nie takich opornych pacjentów, *pardon*, klientów naprowadza na właściwy tor rozmowy.

– Czy w czasie wojny zginął ktoś z pani rodziny, bliskich?

Babcia wzdycha:

– A po co to o tem opowiedać... – Ale że chce być uprzejma, dodaje: – Brat mój cioteczny, un duzo był starsy ode mnie, w wojsku akurat był, to juz nie wrócił... Tak to zginuńć to nie, ale Kazia nasa, ta najmłodsza, na ostatku wziena sie i zmarnowała...

– Proszę opowiedzieć, jak to było.

– No wtedy, jak się te Niemce cofały już na koniec, a Ruski śli z drugą stronę. Mieliśmy tak ziemniak, wie pani, się kartofli tam trzymało, to żeśmy się tam chowali wszyscy. I ona myślała że ctery latka może, dzieciacek esce, a ślicna taka, locki myślała jak ten aniołek, i tak płakała i się bojała po tem ciemku, to co przycichło, to mamusia z nią po trosecku wychodziła, a styceń był, zimno tak... No i nareście którygoś dnia, jak te Niemce tam do nas došli, to nas tam w tej ziemniance zaparli i ugień podpalili, ale jakoś że ktuś nas tam odemknął, i żeśmy bieglu tak przez te pola, przez ten śnieg, uciekali za wieś, bo tam się paliło, a te bumby tak leciały, i każdy leciał sam, a pięćcioro nas było dzieci, i rodzice, i dziadki, i ja to się nawet nie bojałam... A tam się wszystko spaliło, wszystek mająntek. Ale ludzie dobre, to nas poratowali i nas wzieni do siebie, i smatów jakich dali, i co jsić, i tak się pomału łojce łodbudowali. Ale ten dzieciacek nas tak się przeziembił, że zapalenia płuc dostała i już jój nie łodratowali.

– Rzeczywiście ma pani za sobą traumatyczne przeżycia, które mogły wpłynąć na pani dalsze życie i funkcjonowanie. Mechanizmy obronne, które w trudnych czasach pozwalają przetrwać, stosowane w normalnych warunkach stają się szkodliwe. Znamienne jest zwłaszcza zamrożenie emocji, o którym pani mówi, ten brak strachu w sytuacji zagrożenia życia. Czy w późniejszym życiu miała pani problemy z wyrażaniem emocji?

Ale babcia już drzemie, cicho pochrapując, śni, że siedzi w pustej szkolnej izbie i pisze w kajecie rzędek liter o okrągłych brzuskach, pociera o siebie zmarznęte bosa stopy, bo nagle od okna zawiewa chłodem, na niebie zbierają się już ciemne chmury historii, i w tym śnie jeszcze nie wie, że jej dziecięcy charakter pisma ukształtowany przez cztery lata edukacji nigdy nie dorośnie.

– Mamusia mnie nigdy nie przytuliła, proszę pani, nie przypominam sobie – wtrąca więc moja matka, która zamiłowaniem do ponurych życiowych refleksji realizuje za dwa pokolenia, a skoro już zapłacone za całe pięćdziesiąt minut, dlaczego by nie zmienić tego spotkania w sesję rodzinną. Terapeutka zapisuje w notatniku hasło „trauma transgeneracyjna” i subtelnym ruchem wiecznego pióra dwukrotnie je podkreśla.

– Ani żeby mi powiedziała, że mnie kocha, to też nie pamiętam, albo w ogóle dała dobre słowo, to już prędzej tatuś. Bardzo surowa była mamusia – ciągnie matka tym nienaturalnie wysokim głosem, jakiego używała w obliczu zewnętrznego autorytetu.

Gdy dzwoniłam do matki na komórkę, już po pierwszym zdaniu rozpoznawałam, czy ma w domu gości, czy może siedzi w poczekalni u lekarza, a nawet i w samym gabinecie. Matka nigdy nie nauczyła się wyłączać dzwonek ani odrzucać połączeń przychodzących, więc by przerwać ogłuszającą melodię płynącą z jej torebki, mogła już tylko odebrać i wyjaśnić, że „Magdusiu, nie mogę teraz rozmawiać, jestem u pana doktora”. Wyraźnie artykułowała wtedy końcówki, z lekkim uśmiechem, który nadawał jej wypowiedziom ton onieśmienia, jakby stojąc na pastwisku z umorusanymi stopami, rozmawiała z samą dziedziczką, która może wręczy jej cukierek, a może wyśmieje kołtun na jej głowie i z tego wstydu matka już nigdy się nie podniesie.

Przedsmak tego wstydu poznałam, gdy matka po raz pierwszy upomniła mnie w sklepie, że nie mówi się „gacie”, tylko „majteczki”, a przeniknęła mnie na wskroś, gdy wydedukowałam, że inaczej niż w domu mówimy do ludzi, którzy są od nas lepsi. W przełożeniu na liczby wyglądało to dramatycznie. Lepsi byli od nas w mieście niemal wszyscy. To poczucie będzie mi więc towarzyszyło nie tylko pierwszego dnia na uniwersytecie, lecz także w każdej nowej pracy, w restauracji z daniami za ponad trzydzieści złotych, i w sklepie z garniturami, poczucie niezależne od przekraczanych progów podatkowych ani zdobywanych dyplomów. Ale o wstydzie będziemy rozmawiać na kolejnej sesji, więc dziś tylko komentuję:

– Ja zawsze babci trochę się bałam, tylko wiesz, mamo, ty też jesteś, przepraszam – poprawiam się, bo w dawaniu informacji zwrotnej w procesie terapii mam już pewne doświadczenie – zachowujesz się czasem bardzo apodyktycznie.

Ale matka już się rozpędza:

– I najważniejsze zawsze było, co ludzie powiedzą, żeby oidy na całą wieś nie zrobić.

I jak zawsze w chwilach wzburzenia cztery dekady przebytej miejskiej socjalizacji czynią obracać się w perzynę, w miarę jak odpadają z matki drapiące warstwy nabytego słownictwa i ogólnopolskich końcówek fleksyjnych, by odstąpić rdzeń uformowany w tej dawno zapomnianej czasoprzestrzeni, w której wodę nosiło się ze studni, a wieczory spędzało przy świetle lampy naftowej.

– Kiedyś mnie tak brzuchę bolało – głos matki niebezpiecznie się obniża – ale to tak strasznie mnie bolało, zaraz na początku, jak do technikum poszłam, to mnie do lekarza nie wzięła, że to ludzie powiedzą, że jestem w ciąży. Ani na zabawę nigdy mnie mamusia nie puściła, bo na pewno wrócę z brzuchem, a nawet jak na wieś poszłam, jak wszyscy stali, to brata po mnie wysyłała, to skund ja miałam wiedzieć, jakie są chłopy, myślałam, że wszystkie takie same jak dziadek, że tam sobie nazemszczą co najwyżej, ale czy ja bym pomyślała, że są tacy jak ten mój mąż, cholera jasna! Druga matka to by tak nie pozwoliła, nie!

Zdanie po zdaniu wyptywają z matki wszystkie przewiny babci, która zgrzeszyła wobec matki myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem, spływają po ciele matki do naszych stóp, najpierw kropla po kropli, a wkrótce już wartkim strumieniem, gęstawa ciecz w kolorze musztardy sięga nam już do kolan, do pasa, do łokci, terapeutka nie nadąga z notowaniem, już wszyscy czujemy w nozdrzach drażniący zapach żółci, gdy matka opowiada, jakie spełnione życie mogłaby wieść, gdyby nie babka, która jej na to nie pozwoliła, i dzieci, dla których się poświęciła. Terapeutka patrzy na nas przerażonymi oczami łani złapanej w sidła, może jeszcze tylko wydusić:

– Bardzo proszę o stosowanie komunikacji pozytywnej, pani Tereso. Pani Magdo, może teraz pani... – I urywa, silny prąd ciągnie ją na dno. Walczy o każdy oddech, podczas gdy my z matką bez większego wysiłku utrzymujemy się na powierzchni, a babcia wciąż pogrążona w drzemce spokojnie dryfuje pod okno, to nie jest pierwszy festiwal gorzkich żali, w którym bierzemy wspólnie udział.

– No to ze mną było tak, przepraszam cię, mamó, daj mi powiedzieć.

Ale impreza zostaje zamknięta, to była ostatnia piosenka, bisu nie będzie, bo za pięć dwunasta, ojciec woła:

– Gdzie obiad, od rana nicem w ustach nie miał!

Tak samo tamtej niedzieli usiedliśmy do obiadu jeszcze przed południem, bo ojciec bardziej nerwowo niż zwykle zaglądał do garów, szukając okazji do wskazania nieefektywności w funkcjonowaniu gospodarstwa domowego. Po kilku łyżkach rosółu mruknął, że no nawet może być, z głębokim rozczarowaniem człowieka, którego omija okazja do narzekania. Zjadł rosół, zjadł drugie, zjadł dodatkę i poszedł do pokoju, z którego po chwili dobiegły odgłosy transmisji, i tak przenieśliśmy się do Watykanu. Matka spojrzała na mój talerz, fachowo oceniła gramaturę spożytego przeze mnie obiadu i zapytała nieśmiało:

– A może ty w ciąży jesteś? No nawet jakbyś była, to co tam do ślubu zostało, dwa miesiące, to już trudno, lepiej by po ślubie, ale też się będziemy z ojcem cieszyć. – Pogładziła mnie po dłoni. – Powiedz prawdę, matce wszystko możesz powiedzieć. A ludziom nie trzeba opowiadać, może się nikt nie doliczy. Jak z tobą chodziłam, to tylko taki miałam brzuszeczek jak piłeczka, o, co ja się namartwiłam, a ty się urodziłaś taka w sam raz, nóżki to miałaś nawet obgrubne... – Wzdycha. – Ale to rodzenie, to nie daj Panie Boże... Nie jesteś? To coś taka blada i jeść nie chcesz, znowu ci się odchudzać zachciało? Jesz, jesz, już ja widzę, jak ty jesz, banan to nie jest jedzenie, słyszę, jak ci w brzuchu kruczy. Jak ty będziesz taka sucha na zdjęciach wyglądać, jak zamorzona? To dla kogo ja to wszystko gotuję...

A gotowała stale. Lubiłam patrzeć, jak niezgrabnymi dłońmi, na które mówiło się „rozbite”, wałkuje okrągłe placki na drewnianej stolnicy, obsypuje je obficie mąką, układa jedno na drugie, kroi w paski, które znów układa jedno na drugie i ciach, ciach, ciach – szatkuje na drobne kluski. Z upływem lat i przyptywem codziennych obowiązków związanych z wyprawieniem dzieci do szkoły matczyne placki stawały się coraz bardziej kanciaste, a kluski coraz grubsze, aż w końcu matka całkiem zrezygnowała z robienia makaronu, bo to się nie opłaca, ile to się trzeba narobić, kto ma na to czas, dzieci trzeba oprać, a w smaku to nie ma różnicy, kupne nawet lepsze. W ramach protestu ojciec przez dwie niedziele nie jadł rosółu, w którym pływał makaron produkcji przemysłowej, ale gdy trzeciej niedzieli na stół wjechała czernina, ojciec złamał strajk i dosadził się do miski, nie przestając jednak gniewnie pomrukiwać, że baba leń. Gdy podrośliśmy, matka zyskała więcej wolnego czasu i pewnego dnia znów zrobiła kluski, ale ojcu, przywykłemu do ulepszczy, już nie smakowały.

– Nie jesz, to nie jedz, bieda cię kiedy dociśnie, to będziesz jadła.

Talerze szczęknęły w zlewie, idealnie cienkie nitki fabrycznie krojonego makaronu spłynęły do zlewu, zatykając odpływ. Nóż zastukał głucho o blachę, matka kroiliła szarlotkę, szeptem modląc się z telewizorem.

– Oto ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego. Zdrowaś Maryjo, łaski pełna... Masz, chociaż to zjedz.

Podsunęła mi kanciasty kawał ciasta podziobanego z wierzchu widelcem i popatrzyła już łagodniej. Powiedziałam jej prawdę, prawie całą. Nie powiedziałam, że gdy czasem

patrzę na Tomasza, nie potrafię znaleźć jednej rzeczy, którą mamy ze sobą wspólną, ani że Tomasz nie rozumie mojego poczucia humoru. A już na pewno nie, że istnieje coś więcej oprócz trwania, że w ustach może zasychać, że można rozumieć się w pół spojrzenia, że poczucie bezpieczeństwa to dopiero punkt wyjścia, a nie cel sam w sobie, że nie można przyznawać komuś punktów z samego tytułu niebycia pijakiem albo zbirem. Powiedziałam matce jakąś wersję prawdy, którą, miałam nadzieję, zrozumie.

– Co do siebie nie pasujeta? A co tu jest do pasowania! Dobry chłopak, robotny, spokojny, co myślisz, że lepszy ci się trafi? Że każdy chłop to taki miód? Zobacz, jaki mi się trafił i jak się muszę mordować całe życie! A tego to już chociaż znasz tyle lat! A co ty byś chciała, jakiego łajdaka, zбочeńca? Na co ty będziesz czekała, przebierała? Ludzie zaproszone, zapowiedzi poszły, zadatek na salę zapacony, oida na całe miasto, ślub tera odwoływać, bo jej się chłop już nie podoba! Trzeba było pierściunka nie brać, się nie zaręczać, a jak już obiecałaś, to teraz się ożyń. Co ty temu chłopakoju chcesz życie złamać, chcesz, żeby on sobie coś przez ciebie zrobił? Do kościoła nie chodzisz, wieczorem się nie pomodlisz, to i szatan cię opętał, już tam niejeden zszedł na psy w tej Warszawie. Idź i go przeproś, może cię jeszcze weźmie! Powiedz jój coś, stary! – zawołała w głąb domu.

Ojciec stanął w drzwiach kuchni, wysłuchał sprawozdania matki i podsumował:

– Mnie ojce nie rządzili, to ja też nie będę nikomu rządził. – Ojciec wrócił do pokoju, zadowolony, że zrobił matce na złość, a papież pozdrowił pielgrzymów z Polski.

Matka wieczorem przysłała do mojego pokoju z talerzem zacierek na mleku.

– Masz, zjedz ciepłego, na obiad nic nie zjadłaś. – Odstawiła talerz i usiadła na brzegu wersalki. Gdy patrzyłam na nią bez okularów, jej twarz wydawała mi się już łagodniejsza, oczy miała czerwone, cała była przegrana.

– Dzieciaku, zrobisz, jak zechcesz. Żebyś tylko nie wzięła drugiego gorszygo i na poniewierkę gdzie nie trafiła, albo i sama nie została. Zobacz, Anka od Staśków tyle latała, i z żonatymi się nawet zadawała, matkę wpędziła do grobu, się kobita wstydziła na ulicy pokazać, a teraz co, sama siedzi, pomarszczona, widziałam ją ostatnio na rynku, bo jak kobita przeczasieje, to już nie ma chętnych. A samemu to najgorzy, nie daj Boże samemu zostać, nie mieć rodziny. Czy ja dla ciebie źle chcę? Dobrze chcę, żebyś sobie życie ułożyła. A czy drugi to cię tak posłucha jak Tomek? Tam gównu posłucha. I siedź później z takim, bo i dokąd pójdziesz, a jakbyś jeszcze dziecko miała, i użeraj się całe życie, jak ja. Ale zrobisz, jak uważasz, toć cię nie zmuszę.

Do świtu przeglądałam swój stary niemiecki katalog, o piątę zjadłam zimne zacierki z kozuchem, a czterdzieści pięć minut później wsiadłam w autobus powrotny do Warszawy. W słoiku wiozłam porcję rosółu („Makaronu sobie dogotujesz”), a w pudełku po margarynie kawałek szarlotki: „Weź dla niego, on się tak ostatnio zajadał. I przeżegnaj się przed drogą, a gdzie masz boziulkę, co ty boziulki nie nosisz, to chociaż obrazek weź ze sobą, tu ci włożę do kieszonki. Wiesz, dobre te jazdy, ale głupich nie brakuje. I pomodlij się, to ci Bóg najlepiej doradzi”.

Rosół zjedliśmy tego samego dnia po południu, bez makaronu, po czym podałam Tomaszowi szarlotkę i powiedziałam, że nie mogę za niego wyjść. Nie był nawet

specjalnie zdziwiony, bardziej rozczarowany. Tomasz przesypywał się przez palce jak piasek na plaży, ale osobie z wystarczającym zacięciem pozwalał formować się w zamki o krzywych murach. Pozostawiony sam sobie dawał się rozmywać fali na kwarcowe kawałki. Przez lata, które spędziliśmy razem, ulepiłam z niego mężczyznę, z którym mogłabym przejść przez życie, może nie z ekscytacją, lecz przynajmniej bez nienawiści – ale do końca nie wiedziałam, kim jest suma jego części.

Odwolał się ślub. Tomasz powiadomił swoich gości, mnie uprzedziła matka, która obdzwoniła całą rodzinę, zapewniając o zerwaniu ze mną wszelkich więzi i dopytując każdego z osobna, dlaczego Bóg ją tak pokarał, na co nikt nie znał satysfakcjonującej odpowiedzi. Już wkrótce musiała jednak odejść od telefonu i zająć się babcią, która doznała udaru mózgu. Lekarze jako przyczynę wskazali zaawansowaną miażdżycę, jednak nikt z rodziny nie miał wątpliwości, kto wpędził babcię, jeśli nie do grobu, to do jego przedsiönka, bo nic tak nie zapycha tętnic jak wstyd za własną progeniturę.

Wieść o moim moralnym upadku zataczała coraz szersze kręgi wtajemniczenia, w każdym kolejnym obrastając w nowe szczegóły. Ostatni z odbiorców usłyszeli, że zanim złamałam Tomaszowi serce, próbowałam scyzorykiem pozbawić go męskości, ale Tomasz – dusza człowiek – nie poszedł na policję, choć i tak nic by mi nie zrobili w obliczu wyrażonej, ale jeszcze niepotwierdzonej klinicznie niepoczytalności. Tę wzmiankę o chorobie psychicznej puściła w obieg sama matka, która z czasem doszła do wniosku, że schizofrenia mniej zagraża wizerunkowi rodziny niż bezwstyd.

– Już jak ona się urodziła, to ja wiedziałam, że coś z nią nie tak, ale kochałam ją własne – ze łzami w oczach wyznała matka sąsiadce.

Pozbawiona zapomogi od rodziców, zdałam się wyłącznie na zdobyte wcześniej nocnym wkuwaniem stypendium naukowe, a dzięki niezawodnym chłopskim genom odkryłam, ile różnorodnych obiadów można przyrządzić z jednego kilograma ziemniaków, i już wydawało się, że wszystko się ułoży, nic nie pozostaje przecież w stanie nieuleczalnym, ostatecznie wszystko ułada się *jakoś*, a z pozytywów udało mi się jeszcze bardziej schudnąć, gdy Tomasz zrobił mi pierwszą i ostatnią w życiu niespodziankę, wieszając się na swoim niedoszłoślubnym krawacie. Ponieważ wiązanie krawatów nigdy Tomaszowi nie wychodziło i zwykle zajmowałam się tym ja, Tomasa udało się odratować.

Nie, nieprawda, to wszystko się nie wydarzyło. Ale przecież mogło.

Zjedliśmy więc z Tomaszem rosół i szarlotkę, Tomasz wrócił na swoją stancję, a ja napisałam do Adama, że już więcej się nie zobaczymy.

Babcia o tym drobnym zawirowaniu oczywiście nie wiedziała. Nie dowiedziała się też później o mojej ciąży. W ostatnich latach przesiewaliśmy złe wieści przez sitko troski o jej chore serce, a może wcale nie chodziło nam o nią, przecież rodzina zawsze zna nas najmniej, bo w tym wspólnym kokonie jesteśmy ze sobą tak ciasno spleceni, że już tylko warstwą tajemnic możemy oddzielić się od reszty. I ja tyłu rzeczy nie wiedziałam przecież o babci. Czy chciała mieć więcej dzieci? Co się stało z resztą jej rodzeństwa? Jacy byli jej rodzice? Wypłynął ze mnie żal wzajemnie niezadanych pytań.

– Nie płakaj już, nie płakaj, po starym nie ma co płakać, jużem się tyle nazyła, ze me wystarczy na całe życie. Pomóc me, bo wej sama nie dam rady, a tu niezamiecieune.

Podniosłam wzrok, babcia ze zmiotką i szufelką w dłoni stała przy ustawionym na nóżkach wieńcu, z którego spływała szarfa z drukowanym napisem „Ukochanej Babcie – wnuczka Magda”.

– I po co wej się kostowałaś, kochana moja złota. A tobie kto da?

Przestawiłam wieniec, babcia zgięła się wpół na lekko ugiętych nogach, żeby zmieścić na szufelkę niewidzialne śmieci wokół katafalku. Podłogę zawsze myła szmatką, za którą służyły tej pionierce recydingu stare podkoszulki, nigdy nie sięgnęła po mopa ani szczotkę, jak gdyby nie ufała pośrednictwu trzonka. Z tego wypinania pod niebiosa szerokich, płaskich pośladekówn czyniłam sobie okrutne żarty, tylko po to, by trzydzieści lat później odkryć u siebie ten sam nawyk. I takie same pośladki.

– A ten twój to gdzie? Nie przyjechał z tobą?

Zawahałam się, ale jeśli nie powiem jej teraz, to kiedy?

– Ja chyba rozstanę się z Tomaszem, babciu.

– Chiba nie? No tera to me wziunaś i zasmuciłaś. A może sie esce pogodziła? Tak cie rozgnięwał? – Wymiotła spod katafalku igłę, która spadła z któregoś wieńca i podjęła z namysłem: – Nie ma sie co tak gnięwać, dzieciaku, jak sie z chłopem zadas, to zawsze je ryzyko, tak moja mamusia zawsze podeła. A una tyz letko z tatusiem nie mniała, oj, nie mniała. Una taka była niezbyt ładna, niezbyt, wysoka, to tak, ale wiész, jak kobięta za wysoka to tyz nieładnie, i jedno noge miała krótsze, bo tam kedyś ze schodów zleciała, ale ten mój tatuś sie wziun i zakochał jakoś. A tatuś był psienkny chłop, i do samy starości, toć widziałaś na zdjęñciach. I to jakoś było jak mamusia już w ciunzy ze mno chodziła – ciągnęła babcia bez zająknięcia, choć krew nabiegła jej już do twarzy, którą trzymała na wysokości kolan, zeskrobując paznokciem z podłogi kroplę zastygłego wosku ze świec ustawionych po obu stronach trumny. – I jakoś jednygo dnia mamusia posta do stodoły, na drabke wleżała, a tam tatuś z takim dziewczakiem, co to obok u gospodarzów takich bogatsych we służbie była. I mamusia od razu za widły dawaj, ale nikugo nie pokalecyła, tylko tam go w piérś kujła. A tatuś jej pono, Kasiunia, bo tatuś tak do niej mówił aż do śmińcerci, Kasiunia, ja aby ciebie chciałem oscendzić. Taki mundry, patrzaj. A na ostatku mamusia w tech nerwach z ty drabiny spadła na ziemnie. Ze jakoś nie urodziła tam na mniejscu, to me Pan Bóg chiba mniał pod swoje opieko. Ale tako wej sie w głowę uderzyła, ze potem na jidno łoko to do kuńca słaćbię widziela. A dziadek w tem piérśiu mniał szrame, ale już na dziewczaki pono nawet nie popatrzał. A jak popatrzał, to tak, zeby mamusia nie widziela. Bo wiész, chłop to je zawse chłop.

– Babciu, ale to ja już nie chcę... – urwała, zabrakło mi odwagi, by powiedzieć, że czułam się nieszczęśliwa w moim bezdzietnym małżeństwie o podwójnym dochodzie i z kredytem hipotecznym na pięćdziesiąt metrów w podziale na trzy pokoje z aneksem kuchennym i dwumetrowym balkonem. Ten niesprecyzowany argument tracił ważkość wobec kobiety, która wychowała dzieci w chacie bez prądu.

Babcia pokiwała głową.

– Ba, mniłość to jest gorsa jak sracka, jak sie zachcy, to nié przettumacys, ni sobie, ni kumuś. A jak sie odechcy, to tyz nié. – Wyrzepała porządnie poduszkę w pustej trumnie, wygładziła wybicie, mrużąc z niedowierzaniem: – No takigo spania to zem esce nié mniała... Powiedz prawdę, Magdusia, bije cie, bije? Jak bije to najgorzy, albo jak przepije majuntek, nié daj Panie Boze, zeby sie taki trafít. Kedyś to mało któren nie bijał. Ten mój to nié, renki nié podniós, chimerny to był, dokutny, ale bijać me nié bijał. Ja sie tak dla dziewczaków moich modliłam, zeby dobrych chłopów dostały, ale chiba zem sie modliła za słabo, bo ten twój tatuś, to... A!

Machnęła ręką i zabrała się za przecieranie rękawem uchwytów trumiennych. Tak samo machała ręką matka, gdy nachodziły ją wspominki.

– A, gadać się nie chce. Ja to bym się od razu rozwiodła, tylko mi babka nie dała, powiedziała, do mnie: nie wrócisz, oida będzie na całą wieś, jakżeś se wybrała, to tera z nim siedź. A gdzie ja bym poszła? To człowiek siedział. Całe życie dla dzieci poświęcił i co teraz z tego ma? Ale taki to już los, co komu pisane, tak musi być.

Jakby nieświadoma swych ziemskich win, babcia omiotła wzrokiem całe pomieszczenie, cicho westchnęła.

– Zeby tak nawet jednego śwentygo obrazecka nié było... – Przeniosła wzrok na mnie, strzępnęła pyłki z mojego rękawa. – Co ty tu mas za sirzchel... A starygo chłopa tylko se potem nié biérz, uwali ci sie w wyro i bendzies go obchodzić, kalistwo jedne, sie umordujes jak ja na kuniec z twojem dziadziusiem, świeć Panie nad jego duso, com sie umencyła, to tylko ja wiem.

– Ale przecież dziadka kochałaś... – zdziwiłam się, bo choć nigdy nie widziałam z jej strony jednego czutego gestu wobec dziadka, nie wątpiłam w jej uczucia. A może porównując dziadków z rodzicami, myliłam szacunek z miłością.

– Jak sie w kumplementa chodzi, to je i kochanie, a jak cłojek zeniaty, to juz tak ty mniłości nié wyznaje, co innego je do roboty. Ale jak Pan Bóg złuncył, to juz tak musi być. – I może przypomniała sobie o moim ślubie kościelnym, bo zaraz dodała łagodniej: – Chociaz tera młodzi to inacy, to moze i Pan Bóg inacy rozumuje. – I jeszcze domyślnie: – A matko sie nie przejmaj.

Z korytarza dochodziły kroki, wkrótce miał rozpocząć się różaniec. Gdy znów spojrzałam na babcię, leżała nieruchomo na swoim ostatnim pośłaniu. Przeszło mi przez myśl, żeby zrobić jej zdjęcie, ale wydało mi się to zbyt makabryczne, zresztą nie lubiła zdjęć nawet za życia, więc tylko wyjęłam z torebki buteleczkę kropli żołądkowych i wsunęłam ją babci do kieszeni garsonki. Pogładziłam pierwszy raz w życiu policzek kobiety, która urodziła i wychowała kobietę, która urodziła i wychowała mnie, zaskoczona tą czułością, która przychodzi dopiero, gdy jest już o czyjeś życie za późno. Powiedziałam cicho, żeby jej nie zbudzić:

– Wiecny łodpocynek rac jój dać, Panie, a światłość wekuista niechaj jój świeci.

Mogłabym przysiąc, że lekko się uśmiechnęła. Może to dlatego, że pierwszy raz w życiu odpoczywała.